



BOCZNY

nr 10

sama esencja

TOR

W tym kraju
ludzie nie
cenią sobie
poranka.
Budzą się
gwałtownie
na dzwonek
budzika,
który
druzgocze ich
sen jak cios
siekiery,
i od razu
stają się
niewolnikami
żałosnego
pośpiechu.
Niech mi pan
powie,
coż może
być wart
dzień, który
zaczyna się
od takiego
aktu
przemocy?

/ M. Kundera

Comment ça va?

Nie bawiąc się w uprzejmości: wiemy tylko tyle, że jesteśmy w tyle. I obezwładnia nas pośpiech, zdążanie na czas, na medal, na już teraz. Na myśl o pogoni do nocy za dniem dostajemy skrętu kiszek. Pomimo dolegliwości usiłujemy nadążyć, pcha nas naprzód fala zdarzeń. I nawet gdy nie musimy przeć do przodu, gdy wypadamy na moment z szyn, kółeczka obłąkańczo kręcą się wokół osi. Kręcą się siłą bezwładu, choć my polegujemy. Wtedy dopada nas klasyczna zwałka. Nie znacie tego uczucia?

Niedziela, po dwunastej, śniadanie skończone, gazety przejrzone, telefon za dziesiątą ścianą, a za oknem szpetna odwilż wpełzająca pod parapet. Ssanie w dołku, drętwe samowklęśnięcie w siebie. Chciałoby się coś zrobić, ale co właściwie by się chciało?

Wiadomo, co trzeba. Niekoniecznie teraz, tak w ogóle. Ale co zapewni wystarczającą dawkę zadowolenia? Pysznic, pieszczoty, kawa ze śmietanką, familijne kino, koncert kulinarny, spacer może? Nic z tego, tak oczekiwanego po dreszczach tygodnia, bo na wszystko jest czas, więc i na swędzącą takosamość, i na solo sumienia, i na krztynę przemocy wobec otoczenia, żeby o coś się zaczepić. Są sposoby żeby nie skisnąć w sosie własnym. Można na przykład dać sobie „na luz” i zadowolić się własnym gnatem. Lecz nie koniec na tym. Są jeszcze złudzenia.

Pewnego dnia będziemy dostatecznie starzy, żeby śmiać się z naszych błędów. Z naszej przemocy wywołanej niedoborem snu. Oduczmy się wówczas zgubnych nawyków myślenia, że należy coś powiedzieć na każdy temat i mieć zdanie przy każdej okazji; zaniechamy prostowania ścieżek każdemu kto wchodzi nam w drogę; wyzwolimy umysł z bagiennej brnięcia w szczegóły, i pojmiemy zapewne, jak przechodzić do rzeczy, nie odchodząc za daleko. Aczkolwiek szkoda będzie nie spożytkować doświadczeń, damy sobie odebrać przywłaszczone prawo komentowania, byle tylko zachować przy sobie paru przyjaciół, choć z niektórymi trudno wytrzymać już teraz. Trzeba wielkich uczuć, żeby się doskonale mylić.

Doskonale mylić się – to znaczy: nikogo nie przekonać do siebie, nikomu nie ufać, by później nie żałować, nie wymagać nic a nic, snów nie pamiętać, nie wyjść poza odrętwienie, przeżyć nie ruszając się z domu. Stać się cieniem cienia, nie doznając objawienia: czym się to różni od próżni.



Zegarek na całe życie.

Nieme kino się skończyło.

I nie mówmy tu teraz o inwencji, która dodaje smaku znanym potrawom, gdy się przejadły. Kultura to nadal mielony kotlet. Dość, że przeżuujemy. Tu i ówdzie ktoś ogłasza koniec poniżenia i chce wreszcie czuć się sobą, bez odwołania do znaczeń ogólnych – użytecznych czy kuszących abstrakcją. Zostawmy jednak problem obgryzania paznokci, bo na pewno i w takich przypadkach znajdzie się wystarczająco chętnych do ciumkania ze znawstwem nad szczególnymi względami, dla których należy cenić, wyceniać, przeceniać.

Mamy już naprawdę, wstyd powiedzieć, ochotę na prawdę. Ale nie umiemy jej odnaleźć w sobie. I tylko dlatego, że nie jest nam łatwo znaleźć prawdę w sobie, bo być może jej tam w ogóle nie ma, nieufnie patrzymy poza siebie i słuchamy doniesień ze świata. Trwa wyprzedaż. Komu się powiedzie promocja, wepchnie ci jakiś wizerunek siebie, sprzeda celną (bo w ciebie trafiła) myśl, zarazi poglądami, żeby mieć wyznawców metody lub technik.

Szczęśliwy, kto ma udział w smażeniu kotleta. Niepocieszony, kogo trawi czcza konsumpcja. Ale co ma zrobić, poza podgryzaniem własnej dłoni czy dłubaniem w nosie, ktoś kto zazna znudzenia i nie stać go na sprzeciw, powiedzenie (choćby szeptem), że ma dosyć żucia odpadków: że ma dość roztkliwiania się nad złożonością czyichśtam prób, wszystkich tych błędnych zawsze poszukiwań, wstępnych szkiców do rozpoznania całości, która i tak wymknie się opisowi, przymiarek do problemów, które mnożą się przez nieumiarkowany podział, korekt i skreśleń na gotowym tekście, zacierających źródła opracowań, przypisów do spisów treści, kalkomanii, per-wersji, streszczeń na użytek debili, podzielonych na tomy, części i rozdziały sprawozdań z wyczerpującej podróży poza nawias, relacji z przebiegu usuwania jasności białych kart, meldunków z bombardowania kropkami, spowiedzi z nawiązań, tłumaczenia braku ostatecznych i niepodważalnych wniosków – słowem, że dosyć już kultury puenty wymuszonej ograniczeniami czasu?

Bagaż analogii zostawmy tragarzom. Niech dźwigają ideowe i estetyczne programy, w których objawiać się mają ponoć ogólniejsze procesy, struktura całości lub zróżnicowanie walorów. Niech odciskają ślady: pochwycone, przypomniane, wymyślone, nieważne jakie i czy z poświęceniem, czy dla zwykłego bryzgania śliną. Potrzebna jest dogłębna niemoc, bez oszlifowanych tłumaczeń, niemoc która czyni wolnym od nadmiaru zapobiegliwego troszczenia się o formę i od żalu za brakiem sprzedażnej wszystkim treści.

Świat pogubił nas w formach, które chcemy pomyśleć i utrwalić. Potrzebna jest nieudolność i niewiedza i również niewiara, ale ta ostatnia nie jest łatwa. Bo wciąż chcemy coś sygnować sobą, w wierze, że coś warto. Cały czas chce się o tym z troską myśleć, żeby w formie być i z formą, na przekór upływowi czasu, z tego właśnie powodu szczególnie, że czas jest bez formy, to znaczy ujawnia „brak formy”, deformuje i objawia negatyw naszych „twórczych” starań. Tu słowa nie pomogą, choć owszem komunikują niemoc.

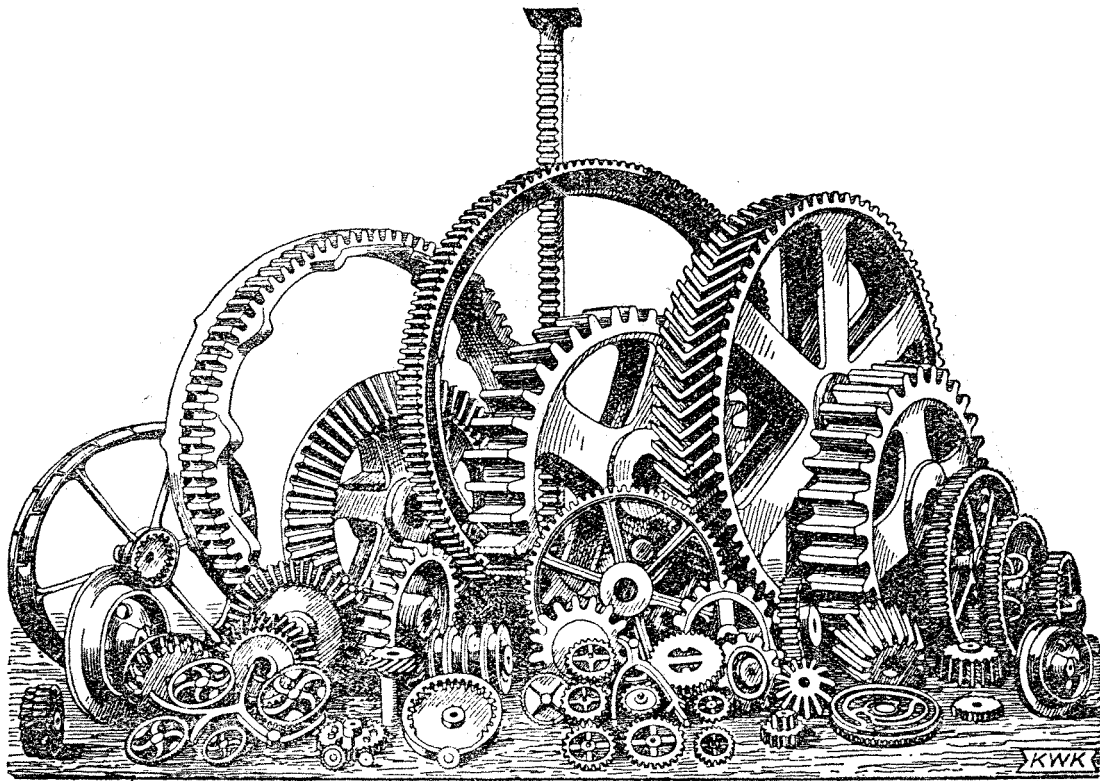
Słowa przede wszystkim niezmiernie utrudniają odczytanie, i bez nich powikłanej, prostoty życia. Niezwykle, że przy skąpych warunkach, kiedy każda forma wymyśla się poprzez naszą słabość wobec czasu, można się bezgranicznie omamiać i być wciąż mamionym, stwarzając zaporę z pozorów rozpoznania i opanowania materii, chaosu i przypadku.

Trudno ją przekroczyć, kiedy trzeba uznać każdy fakt takiego „porządkowania” rzeczywistości przez czyjąś działalność (np. tzw. artystyczną) za więcej niż jednostkowo wybiórczy i już na pewno nie wtórny (bo to obraza dla kulturnych) – a najlepiej za fakt znaczący. W dotychczasowych staraniach z dziełka na dziełko wypiętrzyła się żużłowata masa, która blokuje swobodny ruch i uniemożliwia wyjście poza schemat indeksów osobowo-topograficznych i spisów inwentarza. Po cholere nam hipotezy, choćby poparte tzw. danymi, skoro i tak cięży nam brak wartości niepodważalnych? Wartość użytkową można ulepić z tego co było, bo powielać i mieszać to wszak ludzka rzecz, jakże inaczej dałoby się w ogóle jakoś funkcjonować w obiegu rzeczy i spraw, który zwie się kulturą?

Nieme kino się skończyło, bohaterowie naszych dni chcą mówić. Ale – oprócz tego co powiedzieli i co mogą jeszcze dowolnie przegadać – co chcemy usłyszeć?

Jest potrzeba ulgi. Potrzeba ulżenia sobie – bycia szczęśliwym biegiem okoliczności. W tym biegu, który wiadomo czym się skończy, jest się zawsze w formach niedopracowanych, omyłkowo, na tle niejasnych spraw, których nie sposób przesądzić. Jest się w czasie niedokonanym. Jest się ciągle żywym. Po prostu się jest póki co.

A



świat pełen jest
zużytych metafor

kabaret amorficzny

dodatek wspominkowy z okazji 10 numeru BT

ZAKAZANA DOSEŃKA

oficjalny hymn bocznego toru

czyli **jest żałośnie**

**słońce wstrząsające w wysokiej tonacji
co zmierzchem w drżenia wprowadzało stany
żałośnie narusza obszar obszerności
dany i zabrany**

**prawdopodobieństwo zawrotów pamięci
co w żyłę pompuje lecz już nie zapłonie
żałośnie dogasa za tanią walutę
wypuczając skronie**

**balon w oka drganiu nieumocowany
rzuca długie cienie i do wewnątrz rośnie
cokolwiek
żałośnie**

**choć głowy nie będzie ból głowy nie minie
w kręguśmy są śmierci i nie koniec na tym
znaczyć to znaczy pozostawiać znaki
śmy są esencją rozcieńczaną w ślinie**

MUNDUS HERMETICUS
ALBO OPUS MELANCHOLICUS
CZYLI TRZECIA STRONA MEDALU
ORAZ PIĄTE SŁOŃCE NA ZASŁONCE
INACZEJ MÓWIĄC ZACHŁYSTY TONĄCEGO
CZY JAK KTO WOLI WYSTĘPNY PRÓG ŚWIADOMOŚCI
INNymi SŁOWY GNOJOWISKO PENETROWANE O ŚWICIE

**ślepy byłem głuchy niemy
kiedym brał do dzieła się
cóż że wreszcie otrzeźwiałem
poniewczasie żal mnie gníe**

**cóż że wreszcie otrzeźwiałem
skoro jestem tenże sam
takóŜ smętu powinszować
mniemam że mam to co mam**

**dusznomi śwędzimię
mam ci ja myślenie
wiemże iżże nie to moje
co się po mnie ckiwíe leje**

**co się we mnie tłoczy się w się
wrednie wpierv mi ktoś zapodał
dusznomi śwędzimię
a na domiar jeszcze ssie**

**wiem iż próżne narzekania
i bieżąca woda słów
to ironia lotu zwykła
nad mijającym nieskończonego trumf**

*to wiadomo bez w szczegóć wgrzyzania
śmy są w mocy przyciągania*

Słodka dygresjada

Choć to strata czasu – nie rzygaj na wstępie,
skoro grasz w „chińczyka”, to się nie irytuj.
Czas gra na niekorzyść, lecz życie jest piękne,
jest piękne, jest piękne – a więc nie womituj!

Gdy bałagan w środku – sens jest bardziej na zewnątrz,
celowanie **na oślepa** czyni cele drżącymi
i co z tego, że mało tego czemu ufać
można, gdyby zależało na jakimś trafieniu.

Gdzie są, gdy ich za dnia nie ma,
tęsknoty co budzą po nocach ach ach,
czyje oko cieszy, gdy dali nie widzisz,
przeestrzeni niezmierny rozmach.

Żadnego tam więcej „*nic nie wiem*”
– czymś jest ‘ś jeśliś się zamyślił
(że miłość że przyszłość że szczęście) –
gdy ogarniesz rozpoznasz w tym siebie?

Miały pytań – rzuć kostką, bo coś jest na rzeczy
kiedy grasz w „chińczyka”, póki pion na planszy,
bo życie jest piękne, jest piękne, masz szansę
nie zrozumieć przyczyn.

Pokiego

Czy to wiadomo, kiedy najdzie ta chwila?
Na łzę się zebrało, bo żal dupę zmiął,
że czeka pełnego oczekiwania,
spotyka samo zło.

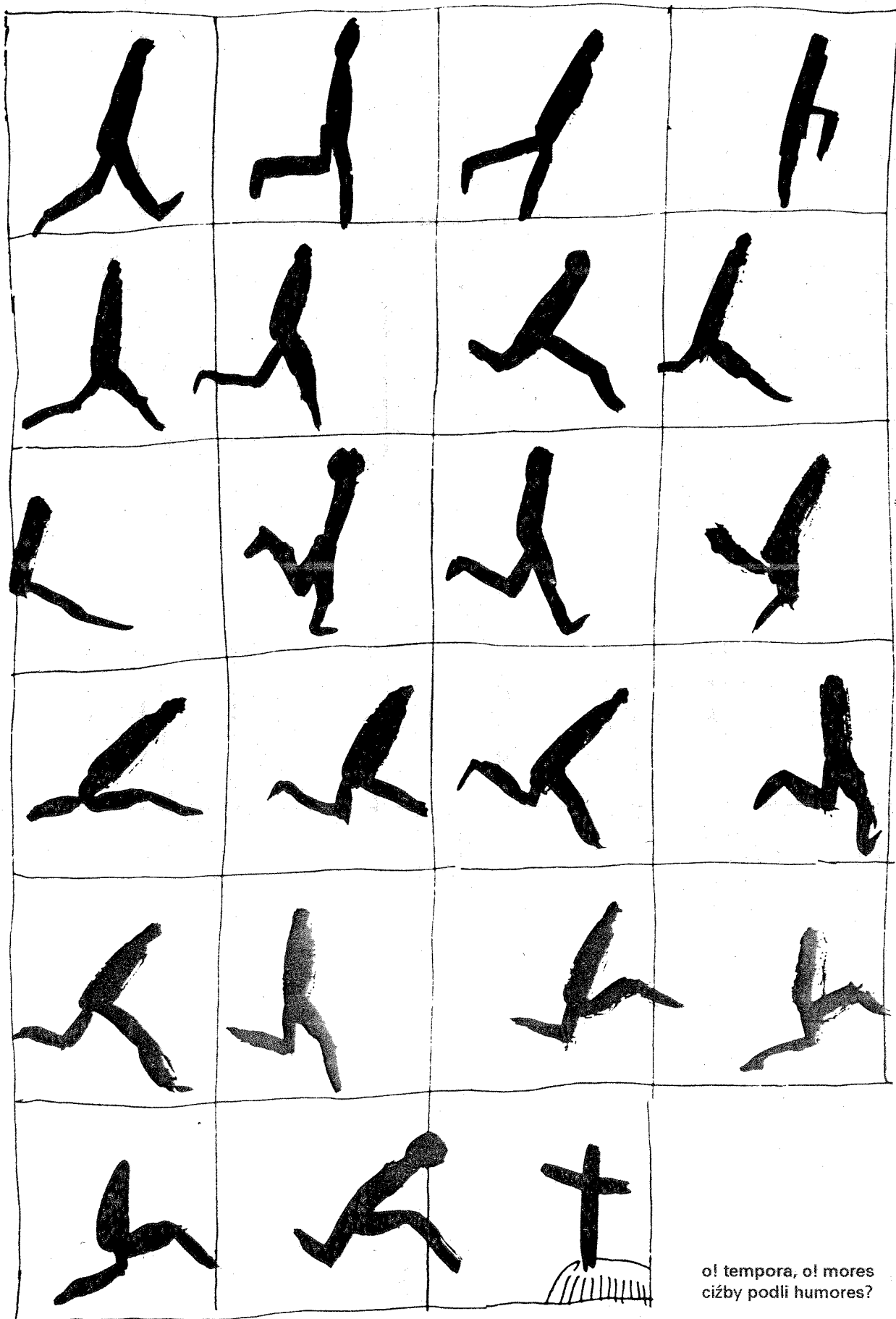
Byłe szczeliną, a częściej przez palce,
szczęście wymyka się, zostaje świad
i tylko żałość, jaka żałość, jaka...
spada na ciebie nie wiedzieć skąd.

Nie ma się o co bić, bo po co,
utopie wszystkie utopione.

Wyginęli ojcowie, ciebie też adoptowano,
ale nikt ci tego nie powie.

Kto mówi, że to źle?
Kto cokolwiek mówi?
Zgrzytam zębami, szlifuję bruk,
na com się rodził i po kiego?
Kopcie mi głębinowy grób.

zresztą *wszystko do bani, kochani!*



o! tempora, o! mores
ciżby podli humores?

...kiedy ktoś stoi
wobec faktu mnóstwa
możliwych wyborów,
żaden nie wydaje się
zadowolający na dłużej
w porównaniu
z całą możliwą resztą,
chociaż, porównany
z każdym innym
z osobna,
nie sprawia wrażenia
pośledniejszego

/ J. Barth, Koniec drogi



*Poświęciłem wnikliwe godziny na popadaniu
w nudę. Niestety, nuda we mnie nie rozrosła
się nigdy do jakości samowystarczalnej, nadal
jest luźno ze mną powiązana i nie może wejść
w krwiobiegu, abym mógł żyć z nią w naturalnej
symbiozie. Jak dotąd wciąż jest wyczuwalnie
obca, a jej objawy są jak swędzenie. Gdy nuda
wtoczy się na mnie, wiotczą mi mięśnie
i odchodzą wszelkie ochoty na uleczenie.
Wszystko jest też poza kategorią przyjemności,
wszystko zmarniałe.*

*Nuda jest stanem. Wolalbym, żeby była
czynnością. Ale nie jest, przynajmniej w sensie
jakieś aktywności. Kiedy czuję nudę jestem
w męczącym czuwaniu: mam ciało, w którym
myśli myślą się wciąż niepomysłnie i paraliżują
wołę odmiany. Z nudą nie można przedobrzeć,
można jej za to długi czas nie dostrzegać,
bo jest jak kleszcz. Na nic dystans, ironia czy
codzienny wysiłek. Nudy nie udasz. Z nudą
jak z życiem: coś się zdarza, ale nie zawsze
wiadomo dlaczego, chociaż nie od dziś
wiadomo, że nic nie dzieje się bez przyczyny.*

CDN, czyli przenośny świat.

Wreszcie jestem pocieszony. Mam ochotę na wszystkie atrakcje, które przywołują mnie migającymi lampionami i planszami ozdobionymi w jarmarcznym guście. Cały lunapark do mojej dyspozycji. Pokraczne karuzele, maniacko rytmiczny diabelski młyn, poobijane bolidy pod iskrząca siatką – mdłości zostawiam na później. Jest jeszcze barakowóz ze strzelnicą a obok loteria fantowa. Co wybrać: ślepy traf czy mierzony strzał? Wychodzi na jedno: pociągasz za sznurek i leci kościotrupek z gumy, a miał być resorak; strzelasz i brzdęk o blachę, tuż tuż obok puszek na której wymarzona figurka Vadera. Żeby tak można ustrzelić słońce! Idę do ostatniej atrakcji, salonu krzywych luster.

Ustawiam się w szeregu i czekam na swoją kolej, by umrzeć ze śmiechu. Podśmiechuję się, podpatrując wypuczenia korowodu ciał przede mną. Trans wyciągnięć i pokurczeń, balet nagłych karłów i wynaturzonych olbrzymów. Ja też chcę się zabawić, ale żadne z luster nie daje mi oczekiwanej satysfakcji. W każdym jestem sobą, bez zniekształcenia. Wyglądam normalnie. Co jest? Patrę pytająco na pokurcza z głową jak dynia. „Nie masz wprawy, zbyt poważnie do tego podchodzisz. Jeśli nie możesz spontanicznie, bądź wyrachowany.” I podaje mi tabletkę wielkości sporej monety. „Połknij, zabawisz się, o to w życiu chodzi, no nie?” Kładę krążek na język i zasysam powietrze. Tabletkę jest chłodna i ma metaliczny smak. „Połknij”, zachęca inna żyrafa, która jeszcze przed chwilą była karykaturą krasnala. Ale nie mogę. Moneta utkwiła w przelyku. Krztuszę się. Napinam mięśnie brzucha, żeby odkaslnąć. Ciężki świst tchu zawisa w gardle, ucisk płuc rozpycha żebra. Pocę się i czuję sól na podniebieniu, jakbym zjadł śledzia. „Nie umiesz korzystać z życia”, słyszę rechot dziwołogów.

Próbuję sięgnąć po coś do popicia. Ramię mam zdrętwiałe, ledwo unoszę rękę. Wsparty na łokciu szukam, szklanka powinna być przy tapczanie. Nie ma. Szybko oswajam się z mrokiem, jeszcze szybciej orientuję się, że nie jestem u siebie. Udaje mi się przepchnąć grudkę flegmy blokującą przelyk. Trochę lepiej, ale nadal odczuwam ból w okolicy mostka. Najwyraźniej coś go przygniotło, gdy spałem. Już kiedyś to czułem. Też po jakiejś popijawie. Zbudziłem się w nocy, nie mogąc otworzyć oczu ani poruszyć się na milimetr, cały w ciężkim skurczu. Nie potrafiłem włączyć światła, bałem się poruszyć, bo czułem, że na piersiach usiadło coś ciężkiego, co czekało aż ze strachu pęknie mi serce.

Teraz było inaczej, nie czułem lęku. Po prostu byłem ciekaw, co wprawiło moje ciało w odrętwienie. Zwróciłem się w bok i zrozumiałem. To była głowa. Własność kobiety, której nie znam. Nie żona, nikt z rodziny, nie znam jej i nie pamiętam, by nas kiedyś sobie przedstawiono. Kim jest? Najprościej ją zbudzić. I co, przedstawię się i spytam: kim jesteś? Wypatroszona z poszwy koldra pamięta zapewne więcej niż ja. Delikatnie przewalam się na drugą stronę, żeby spojrzeć w twarz przeznaczeniu. Czuję zapach – nieznamy, ale miły. Muszę coś z tym zrobić. Z rozmowy oddechów niewiele wynika.

Pozналиśmy się przypadkowo. Jesteśmy tu teraz przez przypadek. Właściwie nie ją chciałem poznać ani ona mnie. Tak wyszło – nierozmyślnie, niechcący, niespodziewanie. Szczegółów nie pamiętam, kiedyś się przypomną. Wiem tylko, że mógłbym być teraz gdzieś daleko i z inną zupełnie osobą. Zdecydował przypadek. Czy to ma jakieś znaczenie?

Są myśli, które wpędzają w omamy. Mamią pozorem słuszności. Są słowa, które zarażają umysł pewnością, że nic nie jest pewne. Wszystko jest przez przypadek, we wszystkich wymiarach i w całej rozwiązalności zdarzeń. A zdarzenia są jak wiśnie. Miałśz przeżyjesz, pestkę wyplujesz. Mniejsza, czy wykielkuje – to co najlepsze już w kubkach smakowych. Smak zniknie, pozostanie posmak. Który wspomnisz lub utracisz na zawsze, zastępując świeższym.

To, co się zdarza z przypadku – możesz fuksem liźnąć, ale cokolwiek zdarzy się ślepym trafem czy cudem – jest natychmiastowe. Jesteś w tym odruchowo i bezwiednie. Mimo woli. Bo wola pojawia się wskutek. Być może życie jest zbiegiem okoliczności, ale nie przeżycia; one są – z biegiem. I dlatego: nieważne jak ani kiedy – ważne co dalej. Ale tego właśnie się nie wie.